

BAUMAN

Dariusz Rosiak

© Wydawnictwo WAM, 2019

© Dariusz Rosiak, 2019

Opieka redakcyjna: Damian Strączek

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Monika Karolczuk, Julia Kalęba

Projekt okładki: Łukasz Podolak

fot. na pierwszej stronie okładki © Samuel Sánchez / El Pais

Opracowanie graficzne: Karol Tyczyński

Skład: Zofia Łucka

Indeks: Anna Śledzikowska

fot. wewnątrz książki: s. 2 (Krasnogruda, 2011) – Michał Kość / REPORTER,

s. 254–255 (Sopot, 2013) – Wojciech Stróżyk / REPORTER

ISBN 978-83-277-2323-9

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

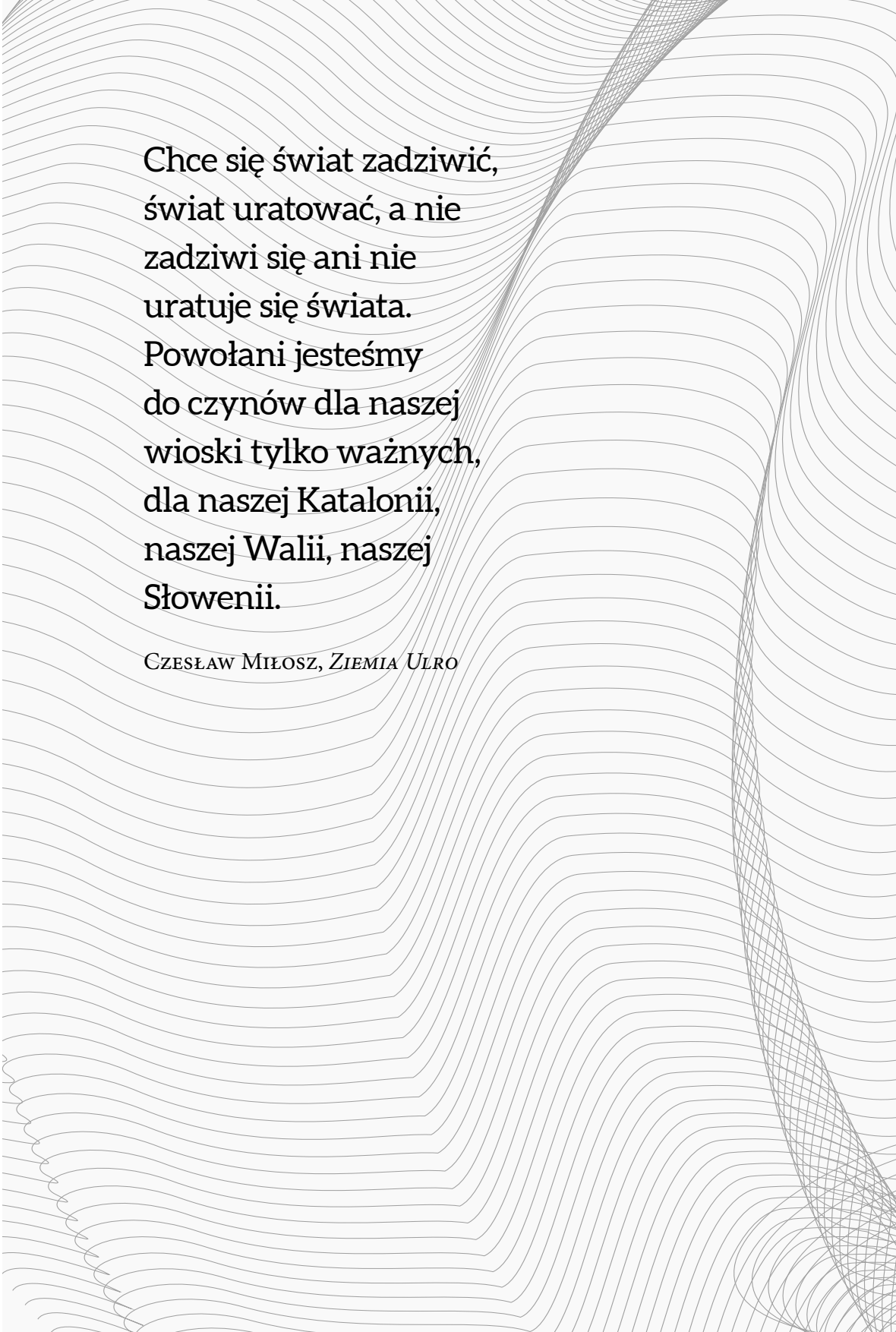
Druk: READ ME • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze IGEPa super brite 80 g vol. 2.0
dostarczonym przez IGEPa Polska Sp. z o.o.

SPIS TREŚCI

| | |
|-------------------------|-----|
| POCZĄTEK: WALC..... | 9 |
| 1. DZIECIŃSTWO..... | 11 |
| 2. WOJNA | 31 |
| 3. UKĄSZENIE..... | 57 |
| 4. STABILIZACJA..... | 89 |
| 5. POGROM..... | 111 |
| 6. IZRAEL | 127 |
| 7. KARIERA | 149 |
| 8. WIELOZNACZNOŚĆ | 163 |
| 9. POWRÓT..... | 179 |
| 10. „SUMIENIE” | 197 |
| 11. PŁYNNOŚĆ..... | 205 |
| ZAKOŃCZENIE: WALC | 219 |

| | |
|--|-----|
| PRZYPISY..... | 225 |
| PODZIĘKOWANIA | 235 |
| BIBLIOGRAFIA..... | 236 |
| Informacje o rozmówcach i wywiadach przeprowadzonych na potrzeby tej książki..... | 236 |
| Książki Zygmunta Baumana..... | 240 |
| Artykuły Zygmunta Baumana..... | 241 |
| Wywiady z Zygmuntem Baumanem | 242 |
| Artykuły i monografie naukowe o Zigmuncie Baumanie..... | 243 |
| Inne artykuły i wywiady dotyczące Zygmunta Baumana | 244 |
| Książki związane z tematem..... | 244 |
| Artykuły historyczne | 245 |
| Źródła archiwalne..... | 247 |
| Źródła niepublikowane..... | 247 |
| INDEKS OSÓB..... | 248 |



Chce się świat zadziwić,
świat uratować, a nie
zadziwi się ani nie
uratuje się świata.
Powołani jesteśmy
do czynów dla naszej
wioski tylko ważnych,
dla naszej Katalonii,
naszej Walii, naszej
Słowenii.

CZESŁAW MIŁOSZ, *ZIEMIA ULRO*

POCZĄTEK: WALC

– Niech mi pani opowie o tym sylwestrze.

– Zabrał mnie w podróż w nieznane. Nie wiedziałam dokąd, co i jak. Czy to miała być podróż przedślubna, czy poślubna, czy zamiast ślubu. Zresztą w ogóle nie było mowy o ślubie, początkowo nie chciałam wychodzić za mąż. Oboje przeżyliśmy długie lata z poprzednimi małżonkami, którzy zresztą przyjaźnili się ze sobą, po co mielibyśmy zawierać kolejne małżeństwo? W tym wieku?

Kiedy zaprosił mnie do Leeds, przyjechałam oczywiście. Tylko że potem pojechaliśmy na lotnisko i wtedy już zaczęłam się domyślać, że szykuje coś specjalnego.

Poleciliśmy do Mediolanu, stamtąd pojechaliśmy samochodem do Como, gdzie czekał na nas pokój w hotelu z widokiem na jezioro. A w sylwestra popłynęliśmy statkiem do Bellagio. Zarezerwował stolik w restauracji Salice Blu. Patrzyliśmy na jezioro, na siebie i rozmawialiśmy. W drugiej części restauracji była sala taneczna.

– Pamięta pani, co jedliście?

– Nie, przepraszam, ale nie mam pamięci do dań. Moja córka doskonale pamięta, co jadła nawet kilka lat wcześniej, a ja nie. Pamiętam tylko, że na stół wjeżdżały co jakiś czas różne obfite dania. I wszystkie były wyśmienite, a do tego podawano znakomite wino.

Kiedy wybiła północ, wręczył mi pierścionek zaręczynowy.

Potem poszliśmy tańczyć. Zawsze uchodziłam za dobrą tancerkę, Zygmunt zresztą też świetnie sobie radził. I tak ta noc nam mijała: tańczyliśmy, rozmawialiśmy, jedliśmy wspaniałe potrawy i patrzyliśmy na jezioro.

Kiedy postanowiliśmy wracać, poszliśmy do szatni po ubrania. Już, już mieliśmy wyjść, ale usłyszałam dźwięki walca z sali balowej. I powiedziałam: tego walca musimy zatańczyć. Wzięłam Zygmunta za rękę,

wprowadziłam z powrotem do sali, zaczęliśmy tańczyć. Wtedy wszyscy goście utworzyli kółko wokół nas i zaczęli bić brawo.

To było piękne i wzruszające.

– Po tej nocy sylwestrowej przestała pani mieć wątpliwości?
– Wiedziałam już wcześniej, że łączy nas głębokie uczucie. Ale ta noc nas umocniła. Zostaliśmy w Como chyba tydzień. Spacerowaliśmy wzdłuż jeziora, pływaliśmy statkiem, pojechaliśmy kolejką linową na wzgórze, tam jest taka restauracja, gdzie można smakować lokalne sery. Po tygodniu pojechaliśmy do Mediolanu, tam spędziliśmy jeszcze dzień, a potem wróciliśmy do Leeds.

Z tamtej nocy została mi wizytówka z restauracji Salice Blu, o niech pan zobaczy.

Oglądam karteczkę z odręcznie napisanym tekstem: „W tej siedzibie Ola zaręczyła się. (Partner i świadek)”.

– Ile państwo mieli wtedy lat?
– Zygmunt miał osiemdziesiąt pięć, ja kilka miesięcy później skończyłam osiemdziesiątkę.

1. DZIECIŃSTWO

Przede wszystkim byłem gruby. Kształt, w jakim pojawiałem się na świecie, skazywał mnie z góry na banicję – na usunięcie poza nawias – i sprawiał, że to, co robiłem, stawało się bez znaczenia w porównaniu z tym, jaki byłem.

Zygmunt Bauman, *Polacy, Żydzi i ja*

TAK NAPISZE O SOBIE TYLKO GRUBAS, który nie ma problemu z byciem grubasem. Może zaakceptował zwały tłuszczu, pękaty brzuch i okrągłe policzki, przyjął, że inaczej się nie da. Albo nie jest już grubasem, może nawet ukradkiem tęskni za dawnymi czasy. Może to było tak dawno, że ten grubas wydaje się piszącemu obcym człowiekiem. To nie ja byłem, myśli, to on.

Grubas ma źle w szkole i na podwórku, nawet jeśli nie urodził się w przedwojennym Poznaniu jako żydowskie dziecko i nawet jeśli nie jest jedynym Żydem w dzielnicy. Grubas ma źle, bo choćby nie wiem co zrobił, choćby był najlepszym uczniem i dawał ściągać innym, choćby oddawał swoim prześladowcom kanapki i specjalnie przegrywał w pikuty i dmuszki, choćby nawet udawał, że nie przejmuje się ich szyderstwami, a wręcz przeciwnie – lubi, jak nim radośnie poniewierają, nawet wtedy, zwłaszcza wtedy – grubas pozostaje grubasem.

Zygmunt został grubasem przez mamę¹. Tak przynajmniej twierdził, gdy wiele lat później wspominał dzieciństwo. Zofia Bauman była wyśmienitą kucharką, całe dni spędzała w kuchni, pichciła potrawy dla męża i dwojga dzieci – Zygmunt miał starszą o siedem lat siostrę Taubę, czyli Tosię – a synek siedział przy stole, odrabiał lekcje albo rysował i co chwila próbował mamusinych potraw.

„Są dwie szkoły uprawiania sztuki kulinarnej – mówił po latach. – Jedna polega na kupowaniu drogich produktów, druga na spędzaniu w kuchni całego dnia”². Zofia miała mało pieniędzy i dużo czasu, wielkiego dylematu, którą metodę wybrać, nie było.

Parę lat później te umiejętności kulinarne uratują Baumanom życie w Związku Radzieckim, wiele lat później Zygmunt Bauman, jeden z najsłynniejszych współczesnych socjologów, umieści na drzwiach swojej kuchni przy Lawnswood Gardens w Leeds napis: „Uwaga, zły pies!”. Otaczającym go kobietom pozwole co najwyżej nakrywać do stołu. O jego potrawach krążyć będą legendy. Ale to później...

Matka karmiła, a ojciec myślał. To znaczy marzył o tym, by poświęcić się myśleniu. Maurycy Bauman najbardziej lubił czytać książki, również religijne, był samoukiem, chciał zostać uczonym, choć trudno mu było określić w jakiej dziedzinie. Odczuwał raczej ogólny niepokój i fascynację materią świata. Nieważne, życie i tak potoczyło się inaczej. Ojciec postanowił dać synowi biznes zamiast wykształcenia, choć powinno być na odwrót. Maurycy był szykowany do roli kupca. Nie miał głowy do interesów, ale w tamtych czasach rodzice nie zastanawiali się, do czego ich dzieci głowę mają albo i nie mają.

Gdy w 1921 roku, podobnie jak wielu innych polskich Żydów, sprawdzili się wraz z żoną Zofią i dwuletnią Tosią ze Słupcy do Poznania, zamieszkali wśród rodzin żydowskich przy Masztalarskiej 8. W dolnym śródmieściu – tam osiedlali się Żydzi: na Żydowskiej, Dominikańskiej, Szewskiej, Kramarskiej, Wielkiej, Koziej, na Wodnej i Wielkich Garbarach. W posagu dostał sklep bławatny – bławat to ówczesne określenie tkanin, zwłaszcza błękitnego jedwabiu – co stało się przyczyną jego życiowej melancholii, graniczącej momentami z depresją. Maurycy nie nadawał się na kupca, sklep przy Wronieckiej szybko splajtował, rodzina była w tak dramatycznej sytuacji, że gdy w 1925 roku Zofia zaszła w ciążę, próbowała ją usunąć. Na szczęście nieskutecznie. Zygmunt po przyjściu na świat stał się oczkiem w głowie matki i utrapieniem dla starszej siostry, której przybyła w rodzinie konkurencja.

W 1931 roku Maurycy z resztką pieniędzy i długiem pojechał do Paryża szukać pracy. Baumanowie mieszkali już wtedy na Jeżycach, przy Prusa pod numerem 17. Byli jedną z nielicznych rodzin żydowskich w tej polskiej, stosunkowo bogatej dzielnicy. Oj, źle im się wiodło podczas nieobecności ojca. Dozorczyńni wspaniałomyślnie ofiarowała im beczkę kiszzonej kapusty, przez kilka tygodni żywili się wyłącznie kapuśniakiem.

Podobnie jak wcześniej w Poznaniu, tak też i w Paryżu Maurycy, oszukany przez kanciarzy, stracił wszystkie pieniądze i zrozpaczony wrócił do Poznania. Kilka dni bezskutecznie szukał pracy, po czym w akcie ostatecznej desperacji rzucił się do Warty z mostu Chwaliszewskiego. To były czasy, kiedy ludzie nie obwiniali innych za własne niepowodzenia, tylko brali się za bary z losem. Kiedy Zygmunt dorośnie, będzie często cytował zdanie Josifa Brodskiego o człowieku wolnym: to taki, który za swoje kłęski nie obwinia okoliczności, innych ludzi, władzy – obwinia samego siebie.

Maurycy był zatem człowiekiem wolnym, nawet jeśli niezbyt zaradnym. Samobójstwo też mu się nie udało. Mostem przechodzili harcerze, kilku wskoczyło do lodowatej wody. Wyciągnęli niedoszedłego topielca. Zanieśli go na noszach na Jeżyce, a Zygmunt zyskał pierwsze traumatyczne wspomnienie z dzieciństwa: łomot do drzwi, postać ojca w prze-moczonej jesionce pokrytej rzeczonym szlamem i wodorostami. Sprawa była tak głośna, że nawet lokalna gazeta o niej napisała. Tytuł: „Żyd próbuje popełnić samobójstwo. Uratowany przez polskich harcerzy”. A może: „Bezrobotny chciał popełnić samobójstwo”? Zygmunt w różnych wywiadach różnie wspominał ten epizod, notatka z gazety zaginęła, gdy we wrześniu 1939 roku to i inne wydarzenia z życia Baumanów w Poznaniu nabrały mniejszej wagi.

W 1931 roku, po nieudanej próbie samobójczej ojca Baumanowie osiągnęli coś w rodzaju stabilizacji. Gdy tylko Maurycy wyzdrowiał – po kąpeli w Warcie nabawił się zapalenia płuc – zaproponowano mu posadę księgowego w największej w mieście hurtowni żydowskiej. Role w rodzinie zostały rozdane: matka gotowała, ojciec pogodzony z losem prowadził księgi. Dzieci próbowały radzić sobie w szkole i na ulicy.

To tam Zygmunt dowiedział się, że jest nie tylko grubasem, ale również Żydem. To znaczy teoretycznie wiedział o tym zawsze, a w szkole i na ulicy na Jeżycach dowiedział się, na czym praktycznie owo bycie Żydem polega. Rodzeństwo ojca rozjechało się po świecie w latach dwudziestych, jeden z braci, Beniamin, wyłudował w Tel Awiwie, drugi, Szymon, miał fabrykę w Little Rock w Stanach, siostra, Zofia, mieszkała w Szwajcarii. Maurycy, marząc o innym, lepszym życiu, myślał również o emigracji do Palestyny, ale Zofia nie chciała o tym słyszeć. Przeprowadzka z dzielnicy żydowskiej na Jeżyce była świadomą decyzją matki – ona nie chciała żyć wśród Żydów, była w pełni zasymilowana i uważała, że zapewni dzieciom lepszą przyszłość, wychodząc ze swojego środowiska.

Korci mnie, żeby napisać, że Baumanowie wybrali polskość, choć mogli wybrać żydowskość albo niemieckość, lecz to nie jest do końca jasne. Przecież nie wyrzekli się lojalności wobec własnego pochodzenia, przyjęli język polski za własny, ale nie brakowało im „żydowskiego tworzywa”³, z którego lepili życie. Nie mieli co prawda nic wspólnego z niedobitkami Żydów niemieckojęzycznych, którzy żyli wspomnieniami dawnej chwały niemieckiej w Poznaniu, a jeszcze mniej z napływowymi religijnymi Żydami z Kongresówki. Nie uczestniczyli w życiu gminy, choć nie odrzucali przecież swojej żydowskości choćby dlatego, że Polacy przypominali im ciągle, że są Żydami. Może, wzięwszy pod uwagę wszystkie dostępne wówczas wybory, w polskiej kulturze czuli się swobodniej, bezpieczniej, bardziej komfortowo.

Miał dwóch dziadków, z których jeden wyglądał jak każdy Polak, ale drugi – ojciec Maurycego – nosił chałat, kapotę, pejsy, myckę, kapelusz. Żaden z nich nie mieszkał w Poznaniu, Zygmunt bał się tego bez chałata, bo wydawał mu się groźny z jakiegoś powodu, choć bywał też hojny – kupił kiedyś wnuczkowi konia na biegunach. Ten w chałacie próbował skłonić wnuczka do czytania Tory – bez sukcesu. Zygmunta śmieszył ten język, dziwnie brzmiał, obco. Dzieci nie lubią rzeczy odstających od normy.

Do synagogi chodzili rzadko, choć w wieku trzynastu lat Zygmunt, tak jak każdy żydowski chłopiec, przyjął bar micwę. Zgodnie z prawem mojżeszowym stał się wówczas odpowiedzialny za swoje czyny. I to był chyba jedyny raz w jego dziewięćdziesięciodwuletnim życiu, kiedy Zygmunt Bauman wszedł w naturalny sposób w orbitę żydowskiej religii. Potem, nawet jeśli powoływał się na jej wielkich przedstawicieli, zwłaszcza jednego – Emmanuela Lévinasa, nie była mu do niczego potrzebna. Tak przynajmniej wyglądało to na pierwszy rzut oka.

POZNAŃ BYŁ NIEZWYKŁYM MIASTEM jak na międzywojenną Polskę. W zasadzie nie było w nim Żydów, za to antysemityzm kwitł w najlepszym. W tym sensie międzywojenny Poznań został prekursorem antysemityzmu bez Żydów, tego unikatowego w skali światowej zjawiska, w którego kręgu dorastały kolejne powojenne pokolenia Polaków, kiedy po Zagładzie, serii emigracji i wygnaniu ostatnich żydowskich niedobitków z Polski w 1968 roku, została ich zaledwie garstka, a mimo to garstka, jak dla niektórych, zbyt obfita.

Może to dziwić, że poznańscy Polacy, srogo doświadczeni przez zaborcę, przez dekady poniewierani i upokarzani przez Niemców, brutalnie germanizowani i z germanizacją walczący, tak szybko zapomną o tym, co

czuje poniżany człowiek. Walczyli Polacy o prawo do używania własnego języka, o udział w handlu, o odpowiednią reprezentację w niemieckich urzędach i radzie miejskiej. A kiedy swoje prawa odzyskali, kiedy ojczyznę na powrót wywalczyli, zapomnieli o tym, jak to jest stanowić mniejszość.

Dlaczego poznańscy Polacy nie lubili Żydów?

Stosunkowo najprościej wytłumaczyć antysemityzm wynikający z uprzedzeń religijnych. Przez stulecia antyjudajizm rozwijał się w całej Europie, nie było powodu, dla którego Poznań miałby być od niego wolny. Noach Lasman, Żyd z Poznania, kolega gimnazjalny Zygmunta Baumana, wspomina⁴, jak pewnego dnia złapało go na ulicy dwóch polskich harcerzy. Zaciągnęli go do harcówki i tam drużynowy poddał go przesłuchaniu:

„– Czy w domu na Wielkanoc jecie macę? – spytał nagle.

– Jemy – odparłem.

– Używacie do jej wyrobu dziecięcej krwi?

Nie pamiętam, czy słyszałem przedtem o tym oskarżeniu, ale odpowiedziałem, że macę na święta jak wszyscy kupujemy w paczkach.

– Ona jest biała i na pewno bez krwi – dodałem.

Milczał chwilę, po czym zapytał, czy mamy piwnicę i co w niej jest.

– Tak jak inni sąsiedzi trzymamy w niej kartofle i węgiel na zimę – powiedziałem.

– I co jeszcze?

– Wannę i kilka misek.

– A są w niej jakieś noże czy narzędzia?

– Tak, mamy młot do rozkruszania dużych brył węgla – powiedziałem nieco zdziwiony.

– A widziałeś tam jakieś plamy krwi? – nie przestawał dopypywać.

– Nie – odparłem. – Mama kupuje czasem kurę na targu i wtedy ja albo mój brat musimy iść do rzeźnika przy budynku Gminy. On ją zarzy-na i zawiesza na haku, a jak cała krew wycieknie, oddaje mi ją i wracam do domu.

(...)

– Zgodzisz się przysiąc na zdrowie mamy, że nigdy nie użyjesz do wyrobu macy krwi dziecka?

Złożenie przysięgi na zdrowie mamy było dla mnie poważnym problemem, więc zapytałem, co się stanie, jeżeli nie przysięgnę.

– Pożałujesz tego – odpowiedział krótko.

Zrozumiałem, że mnie pobiją, i szybko zrobiłem w myślach krótki rachunek. Nigdy nie chciałem i w przyszłości nigdy nie zechcę zarzą-
 4

żadnego dziecka, by użyć jego krwi do macy, której zresztą nikt w domu nie wyrabia, więc przysięgi na pewno nie złamię. Mamie nic złego nie może się zdarzyć.

– Przysięgnę – zgodziłem się.

Kazał mi powtórzyć za sobą słowa przysięgi i puścili mnie wolno”.

Poznań przez wieki kultywował miejsca, gdzie rozpowszechniano i praktykowano antyjudaistyczne mity; najważniejsze z nich to Sanktuarium Najświętszej Krwi Pana Jezusa przy ulicy Żydowskiej. W 1887 roku nakładem Księgarni Katolickiej w Poznaniu ukazuje się drugie wydanie książki pod tytułem *Trzy Święte Hostye w Poznaniu 1399 roku nożami od żydów ukłóte*. Książka opiera się na tekście księdza Tomasza Treterusa, który dwieście lat wcześniej opisał, jak w piwnicy domu, który znajdował się w miejscu kościoła przy Żydowskiej, w 1399 roku dokonano profanacji Najświętszego Sakramentu. Uboga kobieta, skuszona pieniędzmi, i jej córka wykradły z kościoła Dominikanów trzy hostie.

„Świętokradcy zebrani w piwnicy położyli je na stole i zaczęli kłuć nożami, by przekonać się o rzeczywistej obecności Chrystusa w Eucharystii. Z pociętych Hostii wytrysnęła krew i rozlała się na stole i ścianie piwnicy. Przy tym wydarzeniu niewidoma dziewczyna miała odzyskać wzrok. Przestraszeni profanatorzy wrzucili Hostie do znajdującej się tam studni”.

Ten tekst nie pochodzi z dzieła księdza Treterusa, tylko ze strony internetowej trzyhostie.pl, gdzie do dzisiaj historia o Żydach bezczeszczących hostie cieszy się ogromnym zainteresowaniem wiernych. Studnia zachowała się do naszych czasów, a woda, którą wierni z niej czerpią podczas pielgrzymek, ma właściwości uzdrawiające. Dla ścisłości, ani na stronie internetowej, ani w krużganku kościoła przy Żydowskiej 34, gdzie znajduje się opis cudu i jego skutków, nie mówi się o Żydach, tylko o „sprawcach” lub „profanatorach”, ale i tak wszyscy wiedzą, o kogo chodzi. Obecny metropolita poznański arcybiskup Stanisław Gądecki kilkakrotnie napominał wiernych i polecał umieścić tablicę wyjaśniającą, że jest to mit nieuznawany przez Kościół. Mimo to wersja tradycyjna trzyma się dobrze i nic nie wskazuje na to, by cokolwiek w tym względzie miało się zmienić.

Antyjudaizm był tylko jedną z odmian wrogości wobec Żydów. Na powszechną niechęć Polaków wpływały przede wszystkim zaszłości z XIX wieku, kiedy wielu Żydów wielkopolskich uległo germanizacji, przynajmniej w sensie kulturowym, i opowiedziało się po stronie Niemców.

Były ku temu czysto pragmatyczne powody. System rad miejskich w Niemczech nie opierał się na proporcjonalnej reprezentacji grup narodowych, tylko na majątku: bogaci mieli więcej miejsc, biedniejsi mniej. To pozwalało dominować etnicznym Niemcom i ich sojusznikom, wśród których znajdowali się bogaci Żydzi. Polaków, którzy w Poznaniu stanowili większość mieszkańców, system spychał na margines. Wśród Polaków panowało przekonanie – nie bez racji – że Żydzi zawsze stoją po stronie Niemców.

Rafał Witkowski:

– Żydzi wielkopolscy od połowy XIX wieku znaleźli się w pułapce między polskością a niemieckością. Polacy dla nich to byli marzyciele i wichrzyciele, którzy co chwila buntują się, giną i nic pożytecznego z tego nie wynika. A na dodatek nie lubią Żydów. Do tego Polacy z Wielkopolski przed wojną byli obywatelami drugiej kategorii, bo tylko znajomość języka niemieckiego, przynależność do kultury niemieckiej otwierała szansę na edukację i awans społeczny. Nie mieli realnego wpływu na bieg spraw.

O tym, jak silna stawała się pozycja Żydów w Poznaniu, niech świadczy fakt, że w ostatniej dekadzie XIX wieku nadburmistrzem Poznania zostaje Richard Witting, a właściwie Ryszard Witkowski, przechrzta protestant, który urodził się jako Żyd. Ludzie go szanują, bo przyczynia się do ogromnego rozwoju Poznania pod koniec XIX i na początku XX wieku. Żyd zostaje Niemcem i rządzi miastem, czyż to nie wzór do naśladowania? Dwadzieścia lat później, gdy Żydzi mają wybrać między Polską a Niemcami, pamięć o Wittingu jest ciągle żywa.

– Niemcy dawały Żydom prawa obywatelskie i szanse rozwoju – mówi profesor Witkowski. – W Rzeszy była lepsza edukacja, szerszy dostęp do zawodów – nie wszystkich, istniały także sfery wykluczone dla Żydów. Jednak oficjalnie ich pozycja prawna była równa z innymi obywatelami.

Po zjednoczeniu i wygranej wojnie z Francją bismarckowskie Niemcy stały się ideałem nowoczesnego państwa, oazą ładu, którego fundamentem była wspólna narodowa misja. Niemcy mieli ubezpieczenia społeczne, sprawną administrację, kolej. Kontrybucje uzyskane od Francji po wojnie zainwestowano w prowincje wschodnie, każde miasteczko w Wielkopolsce miało porządną pocztę, dworzec, ze dwie szkoły, kilka innych budynków publicznych. I to wszystko działało. Pociągi z Poznania do Wrocławia jeździły szybciej niż dzisiaj, listy wybierano ze skrzynek dwa razy dziennie. Państwo niemieckie nie kojarzyło się

Żydom z opresją, tylko z rozwojem cywilizacyjnym. Zdarzały się akty antysemityzmu, ale do lat trzydziestych nie były oficjalnie sankcjonowane przez państwo. Żydzi mogli jechać do Ameryki albo przenieść się w głąb Rzeszy i żyć na wysokim poziomie. Mogli studiować, mogli pracować, mogli mieszkać, gdzie chcieli.

Gdy po I wojnie światowej Poznań wraz z Wielkopolską i Pomorzem Gdańskim włączono do odrodzonej Polski, ponad tysiąc poznańskich Żydów skorzystało z prawa przyjęcia obywatelstwa Republiki Weimarskiej, większość wyjechała w głąb Niemiec. Traktowali świeżo powstałe państwo polskie jako efemerydę, bez szans przetrwania w powojennej Europie, obietnicę co najwyżej w porównaniu z pewnością, jaką przez lata dawała im akcesja do kultury niemieckiej. Porzucali własną tożsamość, oczekując, że zostaną zaakceptowani jako pełnoprawni Niemcy. Liczyli, że nowoczesność w tej idealnej postaci, jaką wydawało się państwo niemieckie, odwdzięczy im się choćby warunkową akceptacją.

Po 1921 roku Żydzi nie stanowili nawet jednego procenta ludności Poznania. Zostało ich około dwóch tysięcy. Do gminy należało osiemset osób, ostatniego wyboru rabina w 1935 roku dokonało mniej niż trzysta – w mieście liczącym prawie dwieście tysięcy mieszkańców. Odpływ ludności powodował, że zamykano szkoły i sklepy. Nie było pracy. Dodatkowo pojawiały się utrudnienia praktyczne, na przykład urzędy zaczęły działać po polsku właściwie z dnia na dzień. Przedstawiciel wolnego zawodu, lekarz czy prawnik, używający w pracy języka niemieckiego miał wybór: pojechać do Hanoweru lub Berlina i kontynuować praktykę albo zostać w Poznaniu i uczyć się polskiego, walcząc o przetrwanie. Żeby było jasne – przepisy wprowadzane przez polskie władze nie były skierowane przeciwko Żydom, tylko Niemcom, których polskie władze chciały skłonić do wyjazdu, ale Żydzi rykoszetem padali ich ofiarą.

W miejsce wyjeżdżających stopniowo napływali Żydzi z głębi Polski – tacy jak Baumanowie – co sprawiało, że w połowie lat dwudziestych niemieccy Żydzi stanowili już zaledwie piętnaście procent populacji wyznania mojżeszowego. Dzięki napływowi Żydów z Kongresówki stopniowo społeczność żydowska w Poznaniu się rozrastała, ale ciągle była niewielka. W 1930 roku liczyła około tysiąca sześciuset osób, w 1939 – około trzech tysięcy. Nie więcej niż dwa procent wszystkich mieszkańców Poznania.

Poznań międzywojenny był praktycznie miastem jednoetnicznym, co nie znaczy, że znikły napięcia narodowościowe między Polakami a Żydami.

Antysemityzm lat trzydziestych w dużym stopniu był generowany przez kryzys gospodarczy. Jeśli na Starym Rynku w Poznaniu tuż przed I wojną większość sklepów i warsztatów należała do Żydów i Niemców, to oczywiste, że Polacy patrzyli na nich z zawiścią, a gdy objęli władzę, chcieli się odegrać.

Wyjazd tysiąca Żydów nie zlikwidował polskich uprzedzeń, bo w ich miejsce przybywali ci nowi – zwykle ubodzy – z Kongresówki. W całym województwie nie było ich tak wielu, ale opór wobec nich w Wielkopolsce, gdzie działały silne partie narodowe, był znaczący. Oto przyjechał jakiś piekarz z Kalisza, który się przeprowadził do Poznania, trzeba zatem bojkotować jego geszeft! W jednej z poznańskich gazet reklamował się krawiec: „Kupuj spodnie u mnie, to ani niemiecki, ani żydowski pies ci tych spodni nie rozedrże”. I obok tekstu rysunek psa, który drze nogawkę.

Żydowski sklepikarz, szewc, rymarz, rzeźnik, domokrażca stanowił zagrożenie dla polskiego rzemieślnika. Na przykład przez wiele lat trwał konflikt między polskim cechem rzeźniczo-wędliniarskim a gminą żydowską zakończony zwycięstwem Polaków w 1936 roku po wprowadzeniu przez Radę Miejską zakazu uboju rytualnego⁵.

W książce *Niebezpieczeństwo żydowskie* wydanej w 1934 roku przez H. Wildeckiego czytamy:

„Coraz liczniej kupcy żydzi osiedlają się także na Pomorzu i w Poznańskim. Jeżeli się nie zabierzemy do obrony polskiego stanu posiadania w miastach naszych, jeżeli się nie zorganizujemy celem wspólnej obrony zagrożonych placówek naszych, to nie potrwa długo, a miasteczka wielkopolskie zaleje fala walącego od wschodu żydostwa. Nie potrwa długo, a miasta nasze opanuje czerń żydowska – rozdziobią nas wrony i kruki”⁶.

W mieście zamieszkanym przez garstkę Żydów wychodziły dwie polskie gazety uprawiające antysemicką propagandę: „Pająk” oraz „Pod Pręgierz”, a także jedna gazeta codzienna o nazwie „Orędownik”, w każdym numerze przynosząca jakieś rewelacje na temat żydowskich spisków. Jak pisał Noach Lasman we wspomnieniach, pikanterii dodał fakt, że wieloletnim redaktorem gazety „Pod Pręgierz” był przechrzta o nazwisku Sekretarzyk.

Bojkot Żydów był stosowany mniej lub bardziej skutecznie w wielu miejscach w Polsce, ale w miastach takich jak Warszawa, Kraków czy

Lwów, gdzie Żydów były tysiące i sami organizowali sobie życie kulturalne, sportowe czy polityczne, stanowiło to mniejszy problem. W Poznaniu, gdzie Żydów było tak niewiele, bojkot poważnie utrudniał im życie.

W witrynie kawiarni Dobskiego przy ulicy Fredry, jednej z najbardziej eleganckich w mieście, pojawia się napis: „Psom i Żydom wstęp wzbroniony”. Wszechpolacy, którzy regularnie organizowali w Poznaniu antysemitki hece, wysyłali do jednej z kawiarni hotelowych prowadzonych przez Żyda patrol: przychodzi kilku chłopaków, siadają przy stolikach i zamawiają wodę. I siedzą cały dzień, przez co właściciel nic nie zarabia. Pojawiają się izby lekarskie, które nie akceptują Żydów lekarzy. Warta Poznań, jeden z najbardziej zasłużonych polskich klubów piłkarskich, nie przyjmuje Żydów, poznański okręg PZPN w 1938 roku proponuje wprowadzenie zasady *numerus nullus* i wykluczenie z rozgrywek I ligi klubów żydowskich. Wniosek nie przeszedł⁷.

W drugiej połowie lat trzydziestych, po śmierci Piłsudskiego nastroje antysemitki ujawniają się z ogromną siłą. W 1936 roku dochodzi do głośnych wystąpień przeciw Żydom w Sejmie i oświadczenia premiera Sławoja Składkowskiego, który mówi o nich: „Bić – nie, ale bojkot – owszem”. W październiku 1937 roku minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego upoważnia rektorów do wprowadzenia getta ławkowego na uczelniach.

Poza paroma wyjątkami, jak rektorzy Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie czy Uniwersytetu Jagiellońskiego, władze większości uczelni wprowadzają odpowiednie przepisy, których celem jest zniechęcenie Żydów do studiowania. Uczelnie mają być polskie, zwłaszcza polskie mają być wydziały kształcące prawników i lekarzy, wśród których, jak na ówczesny gust Polaków, Żydów jest za dużo⁸.

Poznań też słucha wezwań do bojkotu. Młodzież Wszechpolska domaga się, by liczba studentów żydowskich nie przekraczała procentowej liczby ludności żydowskiej w Poznaniu, czyli 1,2 procent. Nigdy nie udało się całkowicie oczyścić z Żydów poznańskiego uniwersytetu, choć władze uczelni robiły, co mogły, wprowadzając w roku akademickim 1936/37 zasadę *numerus nullus*⁹. Już w roku akademickim 1932/33 rektor Stanisław Pawłowski chwalił się, że „Uniwersytet Poznański jest najbardziej polskim uniwersytetem w Polsce”¹⁰. W 1933 roku na prawie pięć i pół tysiąca studentów jest siedemdziesięciu Żydów, w 1937 już tylko trzydziestu dziewięciu¹¹.

Zanim Zygmunt poszedł do gimnazjum, skończył sześć klas w oddalonej o dwieście metrów od domu szkole podstawowej przy ulicy Słowackiego. Te dwieście metrów to była codzienna droga przez mękę. Gdy wychodził z domu, już na niego czekali, w końcu specjalnego wyboru nie mieli. Dla chłopaków z dzielnicy był darem z nieba, ofiarą, której nie musieli szukać ani wyłuskiwać ze swojego grona. Gruby Żyd – czy może być coś bardziej atrakcyjnego dla dzieciaków, których każda inność razi, niepokoi, burzy i tak chwiejne w tym wieku poczucie bezpieczeństwa? Lżyli go, szturchali, wyśmiewali, choć, jak pisał po latach, nigdy nie przekraczali granicy: „byli nie tylko myśliwymi, lecz także troskliwymi hodowcami zwierzyny”.

Szli za nim krok w krok: do szkoły, ze szkoły, do sklepu, do biblioteki i z powrotem do domu. To naturalne, że po jakimś czasie nawiązywała się między nimi nić, może nie tyle sympatii, ile zrozumienia. Pozdrawiali się na powitanie, żegnali się radośnie, wiedząc, że następny dzień będzie dokładnie taki sam jak poprzedni, wypełniony rytuałem, którego uczestnicy znali swoje role i je akceptowali, bo innego świata nie było.

Twierdził, że był jedynym żydowskim dzieckiem na Jeżycach, co swoją drogą jest mało prawdopodobne.

„Skąd pan wie, że był pan jedyny?” – spytał go po latach dziennikarz „Gazety Wyborczej”.

„Bo gdyby był drugi, to już by mi go chuligani wskazali. Był zresztą taki dowcip poznański: przyjechał z Krakowa Żyd, taki z pejsami, w chałacie. Zbiegowisko się zrobiło, a ten się rozżłościł i mówi: coście krakowiaka nie widzieli?”¹²

„Nie wspominam tych doświadczeń ze zgrozą – pisał. – W świetle późniejszych wydarzeń dramatyczne przeżycia z czasów dzieciństwa dziś wydają mi się raczej groteskowe. Była to, że tak powiem, chałupnicza wersja antysemityzmu; antysemityzm amatorski, nedorzeczny i nieskuteczny; dodatkowy sposób spędzania czasu, rozrywka, okazja do śmiechu”¹³.

Nauczycielki go lubiły, bo się dobrze uczył, i chciały go chronić, więc radziły mu: posiedź w klasie na przerwie, nie wychodź na taras czy korytarz, co się będziesz pchał. Więc się nie pchał. Ze względu na stopnie powinien być najlepszym uczniem, ale Żyd nie mógł być najlepszy. Po wielu latach podobną radę usłyszy córka Zygmunta Baumana

od swojej nauczycielki. Nie pchaj się na afisz, lepiej bądź niewidoczna – dalej zajedziesz.

Zwykle śmiejemy się po latach z doświadczeń dzieciństwa, choćby najbardziej okrutnych, umniejszamy grozę, łagodzimy ból. Ale zadra zostaje. Zwłaszcza to przerażające wspomnienie chwili, kiedy rodzice okazują się tylko ludźmi. Pewnego dnia wracał z matką ze szkoły – po zrobieniu zakupów przyszła go odprowadzić. Doczepiło się do nich dwóch kilkunastoletnich chłopaków: „Jeden z nich był wysoki i lekko przygarbiony, a jego ruchy przypominały skradającego się złodzieja. Drugi odznaczał się atletyczną budową i niskim czołem niedorozwiniętej małpy”.

Szli znajomą trasą, Zygmunt z matką z przodu, chłopaki kilka metrów za nimi. Ze zgrozą zauważał, że obecność matki nie wpływała na ich zachowanie. Robili dokładnie to samo co zwykle, jakby matki nie było. Zofia trzymała syna mocno za rękę, ale skuliła się, spuściła wzrok.

„I nagle olśniło mnie: moja wszechmocna i wszechwiedząca Matka nie była w stanie mnie obronić; nie wiedziała, co pocąć; była poniżona; bała się! Od tej chwili żyłem przez długie lata w strachu”.

Ten strach pozostał w nim na zawsze. Gdy już w XXI wieku wracał do Poznania, zwierzał się żonie: – Już zbliżając się do szkoły, odczuwam lęk¹⁴.

METODĄ OJCA UCIEKAŁ z niegodziwego świata w książki. Czytał bez przerwy: literaturę podróżniczą i przygodową. Lubił szwedzkiego autora Svena Hedina oraz Karola Maya, Jacka Londona. W domu był „Ilustrowany Kurier Codzienny”, pismo „Nasz Przegląd”. Raz na tydzień chodził do jedyne w Poznaniu kiosku, w którym można było dostać żydowską gazetę „Der Hajnt” czytaną przez jego ojca¹⁵.

Groszem nie śmierdział, ale lubił odwiedzać księgarnię Wilaka na ulicy Dąbrowskiego, tuż przy moście Teatralnym, żeby choć popatrzyć na okładki książek, których i tak nie mógł kupić. Pewnego dnia w oknie wystawowym pojawił się napis „Lokal chrześcijański”, a pod nim starannie wykaligrafowane wezwanie: „Kupuj u Wilaka / Popieraj Polaka”. Nie miało to specjalnie sensu – Żydzi nie prowadzili w Poznaniu księgarni, ale jasno wskazywało na poglądy właściciela. Zygmunt przestał go odwiedzać¹⁶.

„W domu nie było zbyt wiele książek, nie byliśmy bogaci”¹⁷ – mówił w rozmowie z przyjacielem. Wypożyczał je zatem w bibliotece Towarzystwa Czytelni Ludowych na Słowackiego – składka wynosiła dwadzieścia

groszy miesięcznie. Tam poznał gruntownie polską klasykę. Ponieważ był częstym gościem, zaprzyjaźnił się z bibliotekarką, która odkładała mu co smakowitsze lektury. Pewnego dnia wśród czasopism na gazetowym wieszaku, i to w najbardziej widocznym miejscu, pojawiła się w bibliotece świeżo zaprenumerowana gazeta „Pod Pręgierz”:

„Zwróciłem przyniesione do zwrotu książki, ale kolejnych do czytania już nie wziąłem – wspominał. – Powiedziałem bibliotekarce, że się nie pcham, gdzieś niechciany, a ona, Bogu ducha winna, zalała się rumieńcem, a i jak mi się zdawało, puściła łezkę na pożegnanie”¹⁸.

Teoretycznie poznańscy Żydzi mogli posłać dziecko do każdego z kilkunastu państwowych gimnazjów w mieście, choć w praktyce przyjmowało ich tylko jedno: Państwowe Gimnazjum im. Gotthilfa Bergera przy ulicy Strzeleckiej. Założył je w połowie XIX wieku niemiecki kupiec dysponujący nie tylko majątkiem (na szkołę przeznaczył pięćdziesiąt tysięcy talarów), ale też nad wyraz, jak na tamte czasy, otwartym umysłem. W statucie szkoły zastrzegł, że będzie ona przyjmowała kandydatów bez względu na wyznanie czy narodowość, co oczywiście było ukłonem w stronę Polaków. Po latach z mecenatu Bergera skorzystali Żydzi, w tym Noach Lasman czy rok później, w 1938 – trzynastoletni Zygmunt Bauman. Oprócz niego w tym roczniku do gimnazjum Bergera przyjęto tylko jednego Żyda¹⁹.

Chciał zostać kosmologiem albo kosmonautą, gdy dorośnie. Po latach twierdził też, że już w młodości zaczął zastanawiać się nad tym, jak świat jest ułożony: „Nad tym, czy świat, który jest – z tym, że ojcowie skaczą do Warty, a koledzy kopią i duszą – musi być właśnie taki”²⁰.

Może się nad tym zastanawiał, może tylko tak mu się wydawało po kilkudziesięciu latach, gdy udzielał tego wywiadu. Z czasem układamy swoje życie od końca do początku. Tłumaczymy wcześniejsze wybory, jakbyśmy wtedy wiedzieli, co nas czeka. Jakbyśmy wysiłkiem woli mogli siebie odtworzyć. Niektórym się udaje.

Faktem jest, że interesował się życiem społecznym, zwłaszcza życiem rówieśników, na tyle, by o nim pisać i na bieżąco komentować. Znalazł też miejsce publikacji.

W 1926 roku „Nasz Przegląd”, najpopularniejszy polskojęzyczny dziennik żydowski, zaprosił do współpracy Janusza Korczaka. Korczak zaczął redagować dziecięcy dodatek, który pod nazwą „Mały Przegląd” ukazywał się bez przerw do 1939 roku²¹. Było to pismo wyjątkowe nie tylko ze względu na odbiorców: żydowskie dzieci dobrze posługujące

się językiem polskim, których rodzice mieli poglądy syjonistyczne, czas na rozmyślenia o sprawach społecznych i których stać było na kupienie gazety. „Mały Przegląd” wyróżniał się tym, że redagowali go i treścią wypełniali sami czytelnicy, czasem kilkuletnie dzieci. Korczak i od 1930 roku jego następcą Igor Newerly dopuszczali w piśmie różnorodność poglądów politycznych, inspirowali dyskusję, nie dawali jednoznacznych odpowiedzi. „Mały Przegląd” miał być pismem, w którym dzieci dzielą się z rówieśnikami swoimi problemami i same je rozwiązują. Zdania na temat metody Korczaka były podzielone wtedy i pozostają podzielone dziś. Niektórzy badacze jego dorobku zwracają uwagę, że zostawiając dzieciom tak wielką swobodę, Korczak inspirował postawy buntownicze, pełne sprzeciwu wobec dorosłych, niekiedy złośliwości i mściwości wobec rówieśników. Z pewnością jednak „Mały Przegląd” uczył dzieci myśleć samodzielnie, dawał im też obraz kraju, szkoły, domu, ulicy. Dzieci pisały o swoich prawdziwych problemach, dzieliły się smutkami i radościami. Były też traktowane jak dorośli i to nie tylko w sensie wychowawczo-filozoficznym – nawet najmłodszy redaktorzy mieli pensję, a rozsiani po całym kraju stali korespondenci otrzymywali wierszówkę.

Zygmunt zaczął pisać dla „Małego Przeglądu” w wieku dziewięciu lat. Nie był stałym korespondentem, ale dla niego – podobnie jak dla jego przyszyłych kolegów z uniwersytetu, Bronisława Baczki czy Henryka Hollanda – było to miejsce pierwszych prób pisarskich.

Niewiele jego tekstów przetrwało, ale ich rozrzut tematyczny pokazuje skalę zainteresowań i temperament autora. W marcu 1935 roku redakcja publikuje wyjątek z listu „Zygmunta z Poznania”, uczestnika konkursu na temat: „Dzień według własnej woli”:

„Trudno mi jest pisać o dniu według własnej woli, bo zdaje mi się, że mój zwykły dzień w zupełności mnie zadawalnia. Jednak po zastanowieniu się, cobym jeszcze chciał robić, przyszedłem do wniosku, że sprawiłoby mi dużą radość, gdybym mógł chodzić po wszystkich sklepach i kupować potrzebne rzeczy dla moich biedniejszych kolegów i widzieć ich rozradowane twarze”²².

W styczniu 1939 roku Bauman daje upust swoim pasjom naukowo-historycznym. Publikuje w „Małym Przeglądzie” artykuł na temat kamienia z Rosetty, kamiennej bazaltowej płyty, której odkrycie w XIX wieku pozwoliło Brytyjczykom odczytać egipskie hieroglify²³.

W 1939 roku Zygmunt jest już w gimnazjum, jego teksty są nasycone opiniami i silnie krytyczne, zwłaszcza wobec innych autorów. W artykule

o brutalnym tytule i nie mniej brutalnej treści²⁴ Bauman dokonuje wiwisekcji twórczości jednej z autorek „Małego Przeglądu”. Dycia przesłała na konkurs pracę, w której zawarła pochwałę Janusza Korczaka, co niesłychanie oburzyło Zygmunta. Wali w Dycię bez pardonu, przywołując przy tym tradycję talmudyczną. Zacytujmy dłuższą partię, warto:

„Na dyskusję mnie nie wyzwałaś, ale poczuwam się w obowiązku podjęcia przez nikogo nie rzuconej rękawicy i wypowiedzenia tego, co leży mi na sercu. Właściwie nie potrzebowałbym się rozpisywać, właściwie wystarczyłoby przypomnieć Ci o pyszniącym się krzaku, pragnącym cedru libańskiego za żonę, ale zanim zdołał osiągnąć cel swych marzeń, zdeptała go sarenka. Nie chcę jednak stać się plagiatorem względem rabi Akiby. (...) Przyznaję Ci rację, że Janusz Korczak jest człowiekiem genialnym, zresztą nie mogę Ci narzucać bohatera. Ale Twoje własne poczucie powinno przestrzec Cię, że to dość nieładnie pisać do gazety pracę konkursową z pochwałą człowieka, który był założycielem i redaktorem tej gazety. Nie chodzi tu w tej chwili o redakcję, ale jak Ty wyglądasz w oczach czytelników. Nie chcę winić Cię, ani wytykać niewątpliwej winy. Wzywam tylko twe własne sumienie do wypowiedzenia się w tej sprawie. Czekam na jego odpowiedź”.

Wnikliwy czytelnik w tych kilku zdaniach odnajdzie cechy znacznie późniejszej twórczości Baumana: rozbudowaną, barokową frazę, radykalizm poglądów, moralizatorską bezkompromisowość.

W kolejnym artykule Zygmunt piętnuje plagiat dokonany przez „Tosię z Wołyńskiej”²⁵. Tosia skopiowała opowiadanie *Wspomnienie* Edmunda Naganowskiego, „dojrzałego człowieka i literata”, jak określa go Zygmunt, zamieszczone w drugim tomie *Czytań polskich*, książki dla szóstej klasy szkoły powszechnej.

„Więc pomyślałem sobie, że coś tu nie w porządku – konkluduje Zygmunt. – Albo Naganowski odwalił od Tosi z Wołyńskiej (w takim razie Tosia, kiedy pisała tę czytankę, musiała być niemowlęciem, bowiem «Czytania polskie» zostały wydane przed dziesięciu laty), albo Tosia za przeproszeniem przerobiła Naganowskiego. Pomyślałem, że raczej to drugie”.

Bauman kontynuuje okrutny wywód, po czym kończy: „Krótko mówiąc, artykuł został odwalony i to brzydko odwalony”.

Redaktor wzywa plagiatorkę Tosię do stawienia się drugiego kwietnia celem złożenia wyjaśnień. Dwa tygodnie później nieszczęsna Tosia na łamach „Przeglądu” przyznała się do „kradzieży” tekstu Edmunda Naganowskiego, prosząc czytelników oraz Redaktora, by jej wybaczyli.

Wybaczone. Doceniając przyznanie się do winy, Newerly nie skreślił jej z listy korespondentów, tylko zawiesił na okres próby. To był kwiecień 1939 roku. Nie wiem, czy Tosia z Wołyńskiej napisała jeszcze jakiś tekst do „Małego Przeglądu”. Więcej tekstów Zygmunta Baumana również nie znalazłem.

Zapytany przez Leopolda Sobla, czy te pierwsze dziennikarskie doświadczenia wpłynęły na jego wrażliwość i motywowały go do pisania, Bauman odpowiedział:

„Podziałało to na mnie jak spuszczenie psa ze smyczy. Przekonałem się, że to, co piszę, drukują, i to dało mi ogromną zachętę do dalszego pisania już po kilku latach, gdy tylko miałem ku temu warunki”²⁶.

„Mały Przegląd” dał Baumanowi pewność siebie i przekonanie, że jego „grafomańskie” – jak mówił z rozmowie z Soblem – próby pisarskie mogą mieć sens. – „Pamiętam, że jak zobaczyłem moje nazwisko wydrukowane w gazecie, oszalałem z radości. To był chyba jedyny raz w życiu, że się tak ucieszyłem z tego, że mnie publikują. Później emocje te jakoś nie występowały tak ostro”²⁷.

Do 1968 roku żaden artykuł ani książka Zygmunta Baumana nie zostały odrzucone przez redakcję.

MAURYCY CHCIAŁ WYJECHAĆ DO PALESTYNY. Po wojnie ta kwestia poróżni go z synem, ale młody Zygmunt sprawdzał wszystkie dostępne możliwości. Jedną z nich była ideologia syjonistyczna. Do takich poszukiwań zachęcała go też historia siostry. W 1938 roku w niecodziennych okolicznościach Tauba Bauman wyjechała do Palestyny. Poszło o mężczyznę.

W trakcie targów poznańskich w 1938 roku w mieście pojawiła się delegacja z Palestyny. Gmina żydowska postanowiła zakwaterować gości u żydowskich rodzin w mieście. W domu Baumanów także zamieszkał pewien młody człowiek. Tauba miała osiemnaście lat, była piękna, gość stracił dla niej głowę i zapragnął ją czym prędzej poślubić.

Taką wersję legendy o cioci Tosi przedstawiła mi Anna Sfar, córka Zygmunta, on sam w jednym wywiadów mówił, że państwo młodzi poznali się przez wuja matki, sekretarza gminy żydowskiej²⁸. Wszystko jedno: ostatecznie w 1938 roku Tosia wyjechała do Palestyny. Szybko zorientowała się, że trafiła do tradycyjnej rodziny sefardyjskiej, żyjącej według zasad, które polskiej zeświecczonej Żydówce musiały wydawać się kosmiczne.

W domu panował ścisły rozdział między kobietami a mężczyznami, wszystkim rządziła matka rodu, nadzorując drobiazgowo córki i synowe, mężowie spotykali się z żonami tylko w celach prokreacji.

– Dla mojej cioci z jej temperamentem to była ostatnia rzecz, jaką była gotowa przyjąć – mówi Anna Sfar. – Po urodzeniu dwojga dzieci, bardzo szybko, jedno po drugim, natychmiast stamtąd uciekła i zamieszkała w kibucu Giwat Brenner.

Zaintrygowany historią opisaną przez Noacha Lasamana, pytam o losy Tauby Bauman. Pewna członkini młodzieżowej organizacji żydowskiej Haszomer Hacair, o nazwisku Bauman, została oskarżona o działalność komunistyczną. Aby uchronić ją przed więzieniem, rodzice wysłali dziewczynę do Palestyny.

– To nie mogła być Tosia – mówi mi Anna Sfar. – Gdyby chodziło o nią, to ta historia byłaby w naszej rodzinie z dumą przekazywana z pokolenia na pokolenie. Tosia nie wyjechała przez komunizm, tylko z miłości. Była piękną kobietą o niesłychanym temperamencie. Zresztą jak tylko dostała się do tego kibucu z dwojgiem niemowląt, od razu odbiła pewnej kobiecie męża. Z nim zamieszkała, pobrali się i mieli jeszcze potem dwoje dzieci.

Nie bez znaczenia dla losu Tauby były z pewnością syjonistyczne sympatie ojca. Syjoniści byli widoczni w Poznaniu jeszcze przed I wojną, to tutaj w 1912 roku odbył się zjazd syjonistów niemieckich.

Rafał Witkowski:

– Syjoniści mieli kluby, spotykali się i zastanawiali: dlaczego mamy się ciągle dawać wciągać w spory między Polakami a Niemcami, wszak jesteście Żydami, osobnym narodem. Czas, byśmy stali się narodem politycznym. Pytali: czy jeśli Niemiec chce być nowoczesny, to uczy się francuskiego? Albo czy Francuz, który chce być nowoczesny, nauczy się niemieckiego? No nie. To dlaczego my się mamy uczyć niemieckiego? Przecież też mamy swój język, kulturę. Rodzi się tożsamość narodowa. To już jest załączek syjonizmu.

Polacy przyzwyczajeni, że Żydzi zawsze współpracują z Niemcami, nagle słyszą: nie, my jesteście osobni, chcemy mieć własne państwo. To nie jest jeszcze pełna wizja, to nie są liczne głosy, ale powstaje wyłom w całkowicie proniemieckiej postawie Żydów.

Co ważne, państwo polskie wspierało syjonistów, bo ci zachęcali Żydów do opuszczenia Polski. Dlatego nawet po 1935 roku, po śmierci

Piłsudskiego, który tępił najostrzejsze przejawy antysemityzmu, dopóki rządził Polską, sanacja wspiera syjonistów, pozwala im na przykład organizować obozy letnie, szkoli ich oddziały wojskowe. A syjoniści, którzy przyjeżdżają na rekonesans do Polski, np. Żabotyński, widzą wiele rzeczy pozytywnych. Bo oto na ich oczach Polacy tworzą własne państwo. Przestali gadać i wzięli się do roboty. Żabotyński mówi do swoich: Przestańcie myśleć o syjonizmie, jakby miał to być proces zakrojony na sto czy dwieście lat, popatrzcie – Polacy wywalczyli sobie wolność i mają państwo. Czas na nas.

W 1938 roku kolega zaprasza Zygmunta na spotkanie żydowskiego harcerstwa, organizacji syjonistycznej Haszomer Hacair. Nie wiadomo, co zdecydowało o zainteresowaniu Zygmunta „szomrami”, jak nazywano członków organizacji, on sam o tym publicznie nie mówił. Niewykluczone, że podobnie jak Noach Lasman zdecydował się wstąpić do organizacji po wydarzeniu, które wstrząsnęło Poznaniem i całą Wielkopolską jesienią 1938 roku.

Z hitlerowskich Niemiec do Polski wygnano wówczas tysiące Żydów. We wrześniu 1938 roku polski rząd wydał dekret, na mocy którego obywatele Polski mieszkający poza jej granicami mieli obowiązek potwierdzić swoje obywatelstwo. Bez potwierdzenia miało zostać im ono zabrane. Wielu polskich Żydów mieszkających w Niemczech nie zareagowało na ten przepis. Władze niemieckie, obawiając się, że na ich terytorium zostanie kilkanaście tysięcy żydowskich bezpaństwowców, postanowiły wygnąć ich do Polski. Ostatecznie 28 i 29 października 1938 roku w ramach operacji Polenaktion Niemcy deportowali przez polską granicę siedemnaście tysięcy polskich Żydów²⁹.

Przez kilka tygodni w przygranicznym Zbąszyniu i okolicach trwał dramat wysiedleńców. Kwaterowano ich w budynkach dworca, koszarach, młynie, w budynku byłego gimnazjum, miejskiej sali gimnastycznej, strzelnicy, synagodze. Kilkaset osób znalazło schronienie w domach prywatnych. Polskie władze były początkowo niechętne przyjęciu Żydów, ale uchodźcom udawało się uciec w głąb kraju, między innymi do Poznania, gdzie Polacy, jak pisał we wspomnieniach Noach Lasman, okazywali im solidarność i współczucie.

„W miejscowej prasie, na ogół nieprzychylniej Żydom, ukazały się wzmianki o biednych ludziach bez ojczyzny. Część polskich zakładów fryzjerskich wywiesiła tabliczki z napisem: «Wygnańców obsługujemy bezpłatnie», sekundując jednemu w mieście żydowskiemu zakładowi

fryzjerskiemu Wolsztajna, który oferował uchodźcom wszelkie usługi przez długi czas. Nawet nasz sąsiad z niższego piętra, z którym mama miewała jakieś drobne utarczki słowne, tym razem nie powiedział złego słowa na natłok «gości» na klatce schodowej i w naszym mieszkaniu. Przeciwnie: sam zaofiarował im swoją ubikację, a mamie powiedział, że nabrał do Żydów szacunku, bo «są tacy solidarni i bezinteresowni w nieszczęściu». Tę solidarność z wyrzucenymi postanowiły także wyrazić władze państwowe i w odwecie za wyrzucenie z Niemiec Żydów będących polskimi obywatelami zarządziły wysiedlenie z Polski obywateli niemieckich pochodzenia żydowskiego. Wyszło niefortunnie, bo tą decyzją niejako potwierdziły prawdę zawartą w starym żydowskim kawale: «Jeśli ty bijesz mojego Żyda, to ja będę bił twojego».

Sanacyjna Polska nie chciała Żydów, ale jednak przyjęła ich prawie dwadzieścia tysięcy. Kraje takie jak Kanada, Stany Zjednoczone i demokratyczne państwa w Europie nie kwapiły się z przyjęciem wypędzonych z Niemiec uchodźców, o czym w najbardziej dramatyczny sposób zaświadczyła historia liniowca „St. Louis”³⁰. Organizowano konferencje międzynarodowe, których uczestnicy potępiali nieludzkie postępowanie Niemców, ale każdy kraj uważał, że ma dość swoich bezrobotnych i nie potrzebuje kolejnego problemu.

Dramatyczne wydarzenia jesieni 1938 roku przekonywały wielu Żydów, zwłaszcza młodych, że w tej sytuacji jedynym sensownym rozwiązaniem będzie dla nich powołanie własnego państwa, w którym to Żydzi będą decydować, kto ma prawo do osiedlenia. Ideologia „szomrowa” dawała młodym Żydom w Poznaniu wyjście z nieustannego napięcia wynikającego z bycia między polskością a niemieckością. Mogli wyjechać i zbudować nowe społeczeństwo, gdzie mieli być równi między równymi. Haszomer Hacair miał ich do tego przygotować.

W Poznaniu impuls do powstania tej organizacji dali żydowscy uczniowie niemieckojęzycznych szkół o sympatiach syjonistycznych. W latach dwudziestych utworzyli oni koło dla chłopców i dziewcząt o hebrajskiej nazwie „Kadima”, czyli „naprzód”. To słowo warto zapamiętać – wróci w historii rodziny Baumanów w jednym z najbardziej dramatycznych momentów jej historii.

Ten okres to dla wielu niemieckich Żydów także czas pożegnań z marzeniem o Niemczech jako ich domu. Po części przyczyniła się do tego rodzina Grynszpanów, polskich Żydów z Radomska, mieszkająca od 1911 roku w Hanowerze. Grynszpanowie znaleźli się wśród ofiar

wysiedleń niemieckich w październiku 1938 roku. Ich syn Herszel Grynszpan wyemigrował do Francji kilka lat wcześniej i zamieszkał u krewnych w Paryżu. Tu dowiedział się z listu od siostry Estery, jaki los spotkał jego rodzinę. W odruchu zemsty postanowił zabić ambasadora Niemiec we Francji. Pomyłkowo zastrzelił trzeciego sekretarza ambasady Ernsta vom Ratha.

W odwecie za zamach na wezwanie NSDAP Niemcy dokonali pogromu, który przeszedł do historii jako Noc Kryształowa. W całym kraju zamordowali prawie stu Żydów, spalili ponad sto siedemdziesiąt synagog, zbezczeszili wszystkie cmentarze żydowskie w kraju, zniszczyli siedem i pół tysiąca żydowskich sklepów, zamknęli w obozach koncentracyjnych dwadzieścia sześć tysięcy Żydów.

Noc Kryształowa to jeden z nielicznych pogromów żydowskich zorganizowanych przez hitlerowskie Niemcy. W ciągu trzech lat metodą prób i błędów Niemcy mieli wymyślić znacznie bardziej efektywny sposób pozbycia się ludzi „zbędnych”. Doskonałą realizację miały w nim znaleźć sprawdzone cechy precyzyjnie działającego nowoczesnego państwa niemieckiego: współdziałanie różnych departamentów administracji państwowej, zastosowanie nowoczesnej technologii, skrupulatne wykorzystanie środków z budżetu państwa. Wiele lat później Zygmunt Bauman opíše ten mechanizm w jednej ze swoich najważniejszych książek.

Będzie mógł to zrobić, bo ocali życie. 3 września 1939 roku, na tydzień przed wkroczeniem Niemców do Poznania, rodzinie Baumanów udaje się wyjechać z miasta pociągiem do Inowrocławia.